# Dwuadresowi



**Katarzyna Bzowska** *(Londyn)*

> My dwuadresowi
> jeździmy pomieszkać do siebie.
> Odwiedzamy przeszłość
> myśląc co będzie?

> Na rozdrożu już jesteśmy
> samowolnie wygnani z dzieciństwa.
>
> Jeździmy po stabilizację
> zostawiając serca w kilometrach autostrad.
> Zmęczeni podróżą wciąż tęsknimy
> wszędzie obcy.
>
> My dwuadresowi
> tam i z powrotem jeździmy pomieszkać do siebie.

Wiersz ten napisała mieszkająca od lat w Niemczech Joanna Duda-Murowski. Jakże dobrze oddaje on stan, w którym znajduje się obecnie wielu Polaków. Nigdy u siebie. Na obczyźnie zawsze trochę obcy, w Polsce – już obcy.

Ta dwuadresowość nie jest niczym nowym. Przez lata była raczej zjawiskiem marginesowym. Gdy ktoś decydował się na emigrację lub był do niej zmuszony, jak miliony ludzi wysiedlonych po wojnie z terenów Polsce zabranych, wiedział, że jest to droga w jedną stronę. A jednak były osoby, którym nawet wtedy udawało się mieszkać w Polsce i za granicą.

Takim dwu-, a nawet wieloadresowcem był Zbigniew Herbert. Ten emigrant z ziemi lwowskiej, który wyemigrował wewnętrznie w latach stalinowskich, żyjący na marginesie głównego nurtu życia literackiego, przez wiele lat tułał się po Europie. Mieszkał w Austrii, Niemczech, Francji i USA, gdzie przez krótki czas wykładał na jednym z uniwersytetów. Jednak nigdy do końca Polski nie opuścił. Wracał do niej, by znowu wyjeżdżać. A wyjeżdżał, bo ta Polska nie była „jego". Uciekał, aby nie być „u siebie", by tym samym móc być bardziej „u siebie". Jednak zawsze wracał. W końcu wrócił na stałe.

Podobnie było z Czesławem Miłoszem. Też imigrantem z ziem zabranych, który nie potrafił znaleźć miejsca w świecie. Wybrał z dala od Polski w sposób bardziej zdecydowany niż Herbert, choć z zasiedziała, zwłaszcza nad Tamizą, emigrację nie miał łatwych stosunków. Oni potępiali go za to, że – jak wielu zresztą innych ludzi pióra (na przykład Julia Hartwig, czy Jerzy Zagórski) – tuż po wojnie zdecydowali się na pracę w PRL-owskich konsulatach. Krótki epizod tej współpracy części twórców wybaczono. Miłoszowi, który rozstał się z tą służbą w sposób spektakularny, część emigrantów nie wybaczyła nigdy. Sam poeta do tych trudnych stosunków dołożył zresztą rękę, a raczej pióro. Pod koniec życia on także wrócił do swojej ojczyzny-obczyzny. Zamieszkał w Krakowie, mieście, które ma w atmosferze coś przedwojennego, nie jest nowoczesnym konglomeratem jak Warszawa, gdzie prawie nie ma starych warszawiaków. W

Krakowie czuje się historię.

Takimi dwuadresowcami było także małżeństwo Julia Hartwig i Artur Międzyrzeccy. Przez wiele lat prowadzili wykłady na uczelniach amerykańskich, ale zawsze traktowali ten swój zagraniczny pobyt jako tymczasowy. Jakiś czas mieszkali w Paryżu. Nigdy nie zlikwidowali warszawskiego mieszkania. Przez krótki czas podnajmował je Zbigniew Herbert, gdy próbował znaleźć swoje miejsce.

Wszyscy wymienieni przeze mnie to poeci, widziani z różnych powodów, w różnych odsłonach polityczno-historycznych źle przez PRL-owskie władze. To ciekawe, że właśnie im wydawano paszporty, podczas gdy inni otrzymywali decyzje negatywne. Mam wrażenie, że władze chętnie się ich pozbywały, w nadziei, że ten „element niepewny", oddziałujący negatywnie przede wszystkim na młodzież, która przychodziła tłumnie na poetyckie spotkania, wybierze zagraniczny adres.

Emigranci, którzy woleli mówić o sobie, że są uchodźcami, gdyż oni nie wyjechali, a zostali wywiezieni – do obozów lub na roboty w Niemczech, łagrów i kołchozów w Związku Sowieckim – nigdy nie wyemigrowali, a po prostu nie mieli dokąd wracać, żyli na obczyźnie Polską. Choć nie mieli drugiego określonego adresu, to była nim cała ojczyzna. Tyle tylko, że nie był to kraj prawdziwy, ten w jaki Polska zmieniła się, a kraj wyidealizowany,

z ich wyobraźni, niewiele też mający wspólnego z tym, który opuścili.

Zmiany w Polsce, a później rozszerzenie Unii Europejskiej, gdy kontynent stał się otwarty dla wszystkich i by wyjechać nie trzeba już było starać się o paszporty i wizy, sprawił, że dwuadresowość stała się zjawiskiem znacznie bardziej powszechnym. Decydowali o tym sami zainteresowani, bez uzależnienia swoich wyborów od takiego czy innego podejścia „panów z urzędu". Dostępność polskiej telewizji, internetu, a także taniość połączeń telefonicznych sprawiły, że wielu Polaków mieszka i pracuje w Niemczech czy Wielkiej Brytanii mentalnie nie wyjeżdżając. Zresztą to też nie jest zjawisko nowe. Zofia Kucówna w jednej ze swoich książek opisuje wizytę u przyjaciół mieszkających w Jerozolimie. Oni żyli tym, co działo się nad Wisłą, choć nie wyjechali dobrowolnie, zostali do wyjazdu zmuszeni i wyruszyli w podróż z biletem w jedną stronę, bez prawa powrotu, a nawet prawa odwiedzenia Polski.

Zastanawiam się co będzie działo się, gdy Wielka Brytania opuści na dobre Unię Europejską? Ilu Polaków podejmie ostateczne decyzje, stanie się jednoadresowcem, zamieszka tu, albo tam? Ilu nadal utrzyma taki status, ale wybierze inny kraj europejski? A może wciąż uda się utrzymać obecną sytuację? Bo dwuadresowość to przede wszystkim stan ducha.

Napisałam ten tekst i włączyłam polską telewizję. Wiadomość, której obawiałam się od chwili, gdy nadeszła informacja o zamachu nożownika na Pawła Adamowicza, prezydenta Gdańska. Zmarł, nie przeżył zadanych mu ran. Uświadomiłam sobie, że dwuadresowość ma jeszcze jeden wymiar: jesteśmy narażeni na dwa razy więcej emocjonalnego przeżywania tragedii niż ci, którzy mieszkają w jednym kraju. Zabójstwo Jo Cox było dla mnie tak samo tragicznym wydarzeniem, jak Adamowicza. Tragedię smoleńską odczułam równie boleśnie, jak zamach terrorystyczny 7 lipca 2007 r. w Londynie. I to jest też cena, jaką się płacę za dwuadresowość.

*„Tydzien Polski", Londyn*

---

# Miłosz w Wilnie oczekiwał cichego

# pobratymstwa



Marek Skwarnicki, fot. http://bookhaven.stanford.edu

**Rozmowa Romualda Mieczkowskiego z Markiem Skwarnickim na temat przyjaźni z Czesławem Miłoszem**

**Romuald Mieczkowski: Niewiele osób może poszczycić się tak bliskimi kontaktami z największymi osobistościami współczesności. Pozostańmy w kręgu literatury, prosiłbym opowiedzieć o przyjaźni z Czesławem Miłoszem.**

**Marek Skwarnicki:** Przyjaźń z Miłoszem, rozwijała się nie tak od razu, narastała latami, zwłaszcza w krakowskim okresie poety, obejmującym ostatnich dziesięć lat jego życia i polegała również na bliskości wileńskiej. Prawda, ja nie urodziłem się w Wilnie, tylko w Grodnie, ale jak wiadomo – „czym skorupka za młodu nasiąknie…" – ciągle odkrywałem i teraz odkrywam w sobie ową kresowość, ja się czuję w Wilnie, jak w swoim miejscu. Ta swojskość wyraźnie była w Miłoszu. Żonę mam z Wilna, tu urodzoną, repatriantkę. Jej rodzina do Polski wyjechała chyba w 1946 roku. Poznałem ją w Toruniu, myślę, że zbliżyła nas owa kresowość, ponieważ taka była tradycja naszych domów. Umownie mówię „kresowość", mając na myśli historyczne rodowody naszych rodzin, nie tylko wileńskie. Czas, spędzony z Miłoszem, był dla nas poniekąd w sporej mierze przypomnieniem Wilna – ten gród tylko z pozoru był *miastem bez imienia*. Czytając te wiersze od razu człowiek wiedział, że chodzi w nich o Wilno. I chłonął ten klimat, który również z wielu jego wierszy płynie. I nie tylko z wierszy. Poddawałem się urokowi miłoszowskich wypraw w staropolskość, które on robił z wielkim porywem i sentymentalnością. Spotykam ją tutaj i teraz, podczas pobytu na Litwie, słuchając chociażby w czasie wycieczki do Szetejń chóru starszych pań z Kiejdan. Tak śpiewała moja teściowa, tak grała na gitarze, jak jedna z tych pań. Spotkałem się więc ze zjawiskiem cofniętym kulturowo o ileś tam lat. I to jest ta pielęgnacja tradycji, jakie nie zachowały się już gdzie indziej. Ta rzewność urzeka nadal. Podobna rzewność była w

twórczości Miłosza.

**RM:  Są tego przykłady. W rozmowach z Noblistą obecna więc była Litwa…**

**MS:** I to w dużym stopniu. I przede wszystkim Wilno. Żona, jak pierwszy raz pojechała na Litwę i była w Szetejniach, to po wyjściu z autobusu zerwała z pobliskiego pola pąk kłosów żyta. Po powrocie do Krakowa wręczyła je Miłoszowi. I te kłosy potem u poety wisiały na ścianie, jako drogi symbol tych stron.

**RM: Jak Czesław Miłosz oceniał po latach swoją ojczyznę?**

**MS:** To był stosunek skomplikowany. Dlaczego, zrozumiałem to dopiero po rozmowach w Wilnie. Zrozumiałem, dlaczego Miłosz po pobycie w Wilnie był czymś zrażony. Nie śmiałem wtedy pytać, czym. Wiedziałem jednak, że coś go boli. Myślę, że poeta spodziewał się innego stosunku Litwinów do Polaków. Kiedy tu przybył, znany i pełen chwały, jemu wcale nie był potrzebny ten wielki entuzjazm, z jakim go witano, jemu potrzebne było ciche pobratymstwo Litwinów i Polaków.

**RM:  Czy o tym mówił?**

**MS:** Unikał tego tematu, ale w jakichś postaciach on ciągle powracał. To był jego wielki dramat życiowy – czterdzieści lat

przecież Miłosz żył w Ameryce, był – tak rzec można – człowiekiem świata, kultury uniwersalnej. Co by nie powiedzieć, Kraków jest pewną prowincją w stosunku do wielkich metropolii kulturalnych świata, w których bywał Miłosz i w których był honorowany, bo poza Noblem miał wiele innych nagród. Co napisał wiersz, to „New Yorker" mu drukował, swoje zrobił pobyt we Francji i współpraca z przedstawicielami tamtejszych kręgów kultury. To wszystko stawiało go w czołówce. Ale on jednak – co jest najistotniejsze – pozostawał bardzo prostolinijny, był „kresowo prosty" i oczekiwał, że do niego na Litwie równie z tą prostotą będą się odnosić. Tymczasem większość spotkań odbywało się na wysokim, oficjalnym poziomie państwowym, oczekiwano od Noblisty deklaracji politycznych. I dlatego czuł się urażony, bo on się wcale nie wywyższał.




Wilno, fot. pinterest

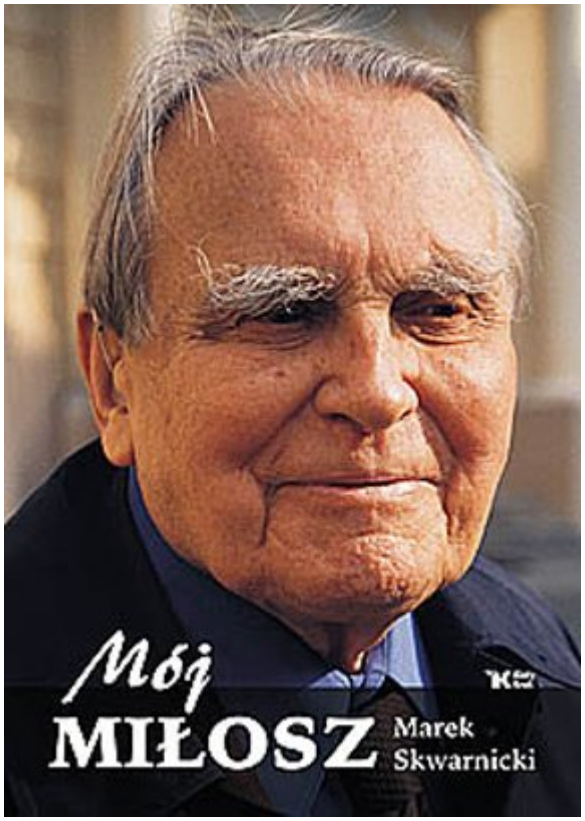
**RM: A jakie refleksje nasuwają się Skwarnickim przy tym pobycie w mieście nad Wilią?**

**MS:** W tej ocenie są różnice pomiędzy żoną i mną. Pierwsze, co zrobiła ona, to pojechała na Antokol, by zobaczyć miejsce, w którym się urodziła. Przystanęliśmy przed Filharmonią, gdzie wtedy mieściło się jej gimnazjum. Ja natomiast byłem w Wilnie dwa razy, pierwszy raz krótko, bo to była jednodniowa wycieczka. Tak naprawdę to nie był ten pierwszy raz, bo mnie, jako cztero- pięcioletnie dziecię, mama przywoziła z Grodna,

kiedy tu przyjeżdżała po modne ciuchy. Należała do oficerskiej rodziny, nie była to specjalnie majętna szlachta. I ja pamiętam tamte wyprawy. Ale dopiero podczas przyjazdu na „Maj nad Wilią” poczułem, czym jest Wilno. Zachwyca jego piękno architektoniczne, z unikalną pozostałością dawnych wieków, harmonię pomieszaną z nowymi zabudowaniami. Pobyt w Wilnie, które przecież we mnie istniało również jakoś poetycko, uświadamia pewną spójność pomiędzy naszymi narodami, może dlatego, że jesteśmy razem w Unii, że przed nami roztaczają się nowe możliwości. Trochę mnie razi jednak zamknięcie się Litwinów – ja się po świecie nieco nawłóczyłem, ale rzadko kiedy byłem tak odcięty kontaktowo, otóż trafiłem do dziwnego świata, w którym istnieje kultura europejska – choćby poprzez obecność gotyku, renesansu, baroku i innych stylów, a jednocześnie – taka zamknięta w sobie enklawa. Zdaję sobie sprawę, że Litwa jest malutka i chce zachować swą odrębność, ale większe otwarcie się wobec przybyszy z Polski na pewno by jej nie zaszkodziło. To nie powinno być źródłem żadnych kompleksów. Wielokulturowa spuścizna to majątek w kontekście coraz bardziej powszechnej kultury masowej Europy, zaś spotkanie terenów z tak pielęgnowaną własną tożsamością i odrębnością bywa wielkim przeżyciem.

**Marek Skwarnicki opisał historię swojej przyjaźni z Czesławem Miłoszem w książce „Mój Miłosz”, wyd. Biały Kruk, Kraków 2004 r.**

O skiążce od wydawcy:




Wspomnienia doprowadzone do ostatnich dni życia Noblisty. Z listów i rozmów, które obejmują niemal pół wieku, wyłania się Miłosz znacznie ciekawszy niż z bardziej lub mniej przychylnych opracowań i biogramów. Korespondencja i osobiste spotkania mówią o nim być może coś więcej nawet niż spuścizna literacka; są kluczem do kolejnych drzwi, za którymi staje prawdziwsza postać Czesława Miłosza. Marek Skwarnicki – znakomity pisarz i tłumacz z kręgów katolickich, w okresie komunistycznym będących enklawą wolności – od ponad pół wieku przyjaźnił się z Czesławem Miłoszem. Jego wspomnienia ukazują całą epokę, w której zapisali się bohaterowie tej książki. Obszernie cytowana korespondencja Miłosza ujawnia wiele jego osobistych sympatii (lub antypatii) oraz rozterki duchowe

wielkiego artysty. Marek Skwarnicki towarzyszył mu także w ostatnim czasie, gdy zmagał się on ze śmiertelną chorobą. Wielkim walorem książki są dokumentalne, nieznane fotografie (ponad 60!) m.in. brata Noblisty, Andrzeja oraz Adama Bujaka.

Zdaniem prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Aleksandra Fiuta książka Marka Skwarnickiego to „książka wyjątkowa, stanowiąca zapis przyjaźni starego poety z młodym poetą".

„Ten *Mój Miłosz* powstał z mojego przywiązania do niego, które było wcześniejsze niż poznanie osobiste" – powiedział Marek Skwarnicki, opowiadając o swojej wczesnej fascynacji wierszami Czesława Miłosza z tomu „Ocalenie". Jak podkreślił, fascynacja ta miała wsparcie w jego przekonaniu o podobieństwie doświadczeń.

Kolejnym etapem znajomości było związanie się Marka Skwarnickiego z „Tygodnikiem Powszechnym", co sprawiło, że Czesław Miłosz zaczął czytać jego teksty. Dopiero znacznie później, po wymianie listów, doszło do osobistego spotkania obu twórców.

Jak przyznał autor, bezpośrednim impulsem do napisania książki był fakt, że natknął się na informację w Internecie, że jego listy do Miłosza sam poeta zdeponował w archiwum na uniwersytecie w Yale.

„Kiedy po ukończeniu książki spytałem go (Miłosza), jak by określił jej charakter, powiedział: *To jest opowieść o przyjaźni w trudnych czasach starego pisarza z młodszym*” (Marek Skwarnicki w pierwszym rozdziale swojej książki).

**Marek Skwarnicki zmarł w Krakowie w 2013 roku.**

---

# „Miłosz w Krakowie” – książka Agnieszki Kosińskiej

**Młodego Czesława Miłosza zauroczyła w Wilnie studentka prawa z lekarskiego domu. Pisał do niej czułe listy i wiersze. Związek z Jadwigą Tomaszewicz, późniejszą żoną pisarza i awanturnika Sergiusza Piaseckiego, choć nigdy nie sformalizowany, przetrwał całe życie. Była muzą, doradczynią i podporą. Tego aspektu z życia noblisty**

**dotyczy fragment książki Agnieszki Kosińskiej „Miłosz w Krakowie”. Autorka towarzyszyła Czesławowi Miłoszowi przez ostatnie jego osiem lat życia, dzięki czemu możemy poznać poetę nie tylko jako twórcę, ale przede wszystkim jako człowieka.**

*Redakcja*



Agnieszka Kosińska i Czesław Miłosz, fot. Joanna Helander.

28 maja 2004, piątek

Wczoraj CM (Czesław Miłosz, red.) poprosił mnie o poszukanie w listach od Jadwigi Tomaszewicz, które specjalnie przywiózł z Grizzly, listu, w którym opisuje ona swój pobyt w szpitalu. Przeglądnęłam i przeczytałam wszystkie i nie znalazłam, o czym opowiadam CM dziś na sesji roboczej w szpitalu na Skawińskiej, a on wyraźnie ukontentowany, że o niej będziemy rozmawiać.

**Agnieszka Kosińska:** Wpierw przeczytam panu list od syna Jadwigi Władysława Tomaszewicza do pana, a potem list siostrzenicy Jadwigi Izy Lejwody do pana, bo one porządkują trochę zdarzenia w życiu Jadwigi i mówią o jej trzech pobytach w szpitalu: pierwszym w 1984 roku, kiedy nie mogła jechać do Jugosławii na pana zaproszenie, drugim w 1985 i w 1987, tuż przed śmiercią w roku 1989.

Po lekturze.

**A.K.:** Jeśli chodzi o komentarze samej Jadwigi o swoim zdrowiu, są bardzo znikome i oszczędne. W ogóle, panie profesorze, to była wspaniała i piękna kobieta.

**Czesław Miłosz:** Ona była żoną Piaseckiego.

**A.K.:** Wiem, Władysław był ich synem. Bardzo silna osobowość, z kręgosłupem, a przy tym prawdziwie szczodra i opiekuńcza, to bardzo rzadkie połączenie cech. Wspaniała po prostu. A jej komentarze literackie jakże trafne. Duża inteligencja.

**CM** (z wyrazem błogości): Cieszy mnie, że pani to mówi.

**A.K.:** A jakże nie mówić. Miał pan wielkie szczęście. Była pana *cicerone*, dawała panu siłę, usuwając się całkowicie z pana życia. Napisała do pana tylko dziewiętnaście listów (wliczając w to kartki), a pan właściwie przy każdej okazji pisał do niej.

**CM:** (po dłuższej chwili): No, to podyktujmy.

Moja przyjaciółka, od której dostałem około dwudziestu listów, pisze o swoich kolejnych pobytach w szpitalach, ale zgodnie ze swoim temperamentem nie uskarża się i jedynie z rzadka wspomina na przykład o tym, że pobyt w szpitalu głęboko zmienił jej światopogląd. Dokładnie nie cytuję, bo nie mogę akurat znaleźć tego listu, ale wiem, że było tak.

Moja przyjaciółka Jadwiga, o której wspominam, nie była moją żoną, po prostu przyjaciółką, której zalety rozważam. Była dzielna, wspaniałomyślna i rzadko mówiła o sobie. Nasze małżeństwo, jej zdaniem, doprowadziłoby do licznych awantur, z powodu jej trudnego charakteru.

**A.K.:** Wręcz przeciwnie! Po lekturze tych listów myślę, że ona doskonale wiedziała, że bylibyście dobrą parą, ale nie mogła tego zrobić. Poczucie stosowności i tego, że musiałby pan skrzywdzić wielu ludzi, nie pozwalały jej na doprowadzenie pana do decyzji porzucenia życia, które pan wiódł, i osób, z którymi pan żył. Wiedziała wszystko to, o czym pan jeszcze nie wiedział, że w gruncie rzeczy to jest nieważne, z kim jesteśmy, że każdy ma swój los, który spełni się tak czy owak. Dlatego trzymała pana na dystans, emocje na wodzy i od czasu do czasu zrażała pana swym „trudnym charakterem". Jest takie piękne zdanie w jej liście [z 26 kwietnia 1983 roku]: „są dni, kiedy chętnie bym się z Tobą kłóciła, ale wieczorami i nocami Cię kochała, tzn. wtedy gdy piszesz – o co mi chodzi, lepiej nie pisać". Tak więc z tym charakterem to nie do końca tak. Przecież Janka też nie miała łatwego charakteru, a związał się pan z nią.

**CM:** Ooo, tak!

**A.K.:** No właśnie. Gdzieś przeczytałam, chyba u Wata: „Był tak gniewny, jak tylko dobrzy ludzie potrafią".

**CM:** Bardzo dobre zdanie.

**A.K.:** I proszę jeszcze pomyśleć, w jakich warunkach Jadwiga wychowywała syna, i to czyjego syna! W małym miasteczku Giżycku, samotna matka, jedyna żywicielka swej matki i dziecka.

W jakim strachu ona żyła? Co myśleli sąsiedzi, widząc wykształconą i piękną kobietę gospodarującą samotnie w domku z ogrodem?

**CM:** Tak, doceniam to, co pani mówi, bo pani to zna częściowo z własnego doświadczenia. A teraz doceni pani fakt, że panią poprosiłem o przeczytanie tych listów.

**A.K.:** Oczywiście, choć moja sytuacja i czasy są raczej diametralnie inne. Dlatego uważam, że opieka nad bliskimi w sytuacji i warunkach Jadwigi to bohaterstwo.

**CM:** Myślę o tym, żeby tu powiedzieć o niej prawdę. O jej nazwisku.

**A.K.:** Myślę, że musimy spytać jej syna. Bo jednak Jadwiga nigdy tego za życia nie zrobiła. Władysław wprawdzie pozwolił na ukazanie się artykułu o poszukiwaniach ojca[1], ale wola należy do niego. Myślę, że znajdziemy formułę, jak zawsze.

**CM:** Noo, ja zrobiłem portret Niki.

**A.K.:** Ależ Nika Kłosowska to zupełnie inny kaliber sprawy i inna kobieta. Wielka miłośnica, peregrynatorka i wojażerka.

**CM:** Ma pani rację. Podyktuję jeszcze.

Było to więc wyrzeczenie się dobrowolne, ale nic teraz, kiedy o niej myślę, nie przeszkadza, żebym wygłosił pochwałę jej anonimatu. I nawet napisał coś w rodzaju miłosnej ody na jej cześć. I wielka litość, kiedy myślę o niej, o ostatnich jej latach, samotnych, w Polsce, o jej chorobach, o niej jako o kłębku bólu, skurczonej, bo ta pozycja nie narażała jej na ból, i o jej niedostępnej dla mnie śmierci. A przecie musiała jeszcze pokonywać co dzień strach, że odkryją jej prawdziwe nazwisko.

**A.K.** (zbierając się do wyjścia): Proszę przez weekend pomyśleć nad Jadwigą i formułą. Na sobotę plan taki: do południa Władzia, potem Joanna Zach, potem Zagajewscy, po nich Toni. (dla rozbawienia dodałam:) Ta Joanna to jest niezłe ziółko.

**CM:** Że co!? (twarz CM zupełnie rozbrojona i figlarna, jakby usłyszał pytanie Jadwigi: „W kim się teraz kochasz, Czesio?") Teraz jak pani wyjdzie, będę znów rozmyślał, a te godziny wloką się, a potem ten cyrk ze spaniem.

**A.K.:** Nie może pan spać?

**CM:** Nie mogę.

**A.K.:** A musi pan? Ile godzin pan przesypia? Mój ojciec, któremu się zmarło w sześćdziesiątym siódmym roku życia i który zawsze mało sypiał, po pięćdziesiątce spał około czterech–pięciu godzin.

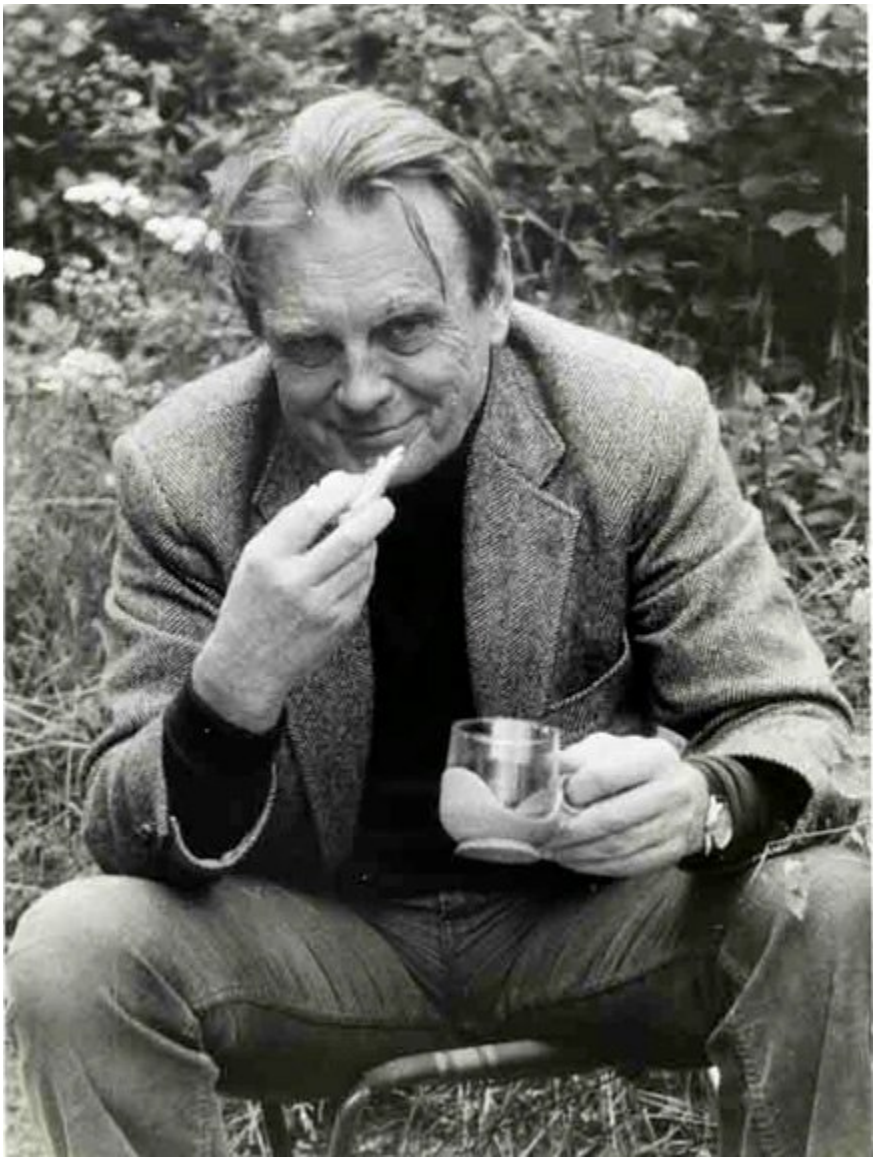
Może pod koniec życia długość snu, którego potrzebuje organizm, się skraca? A pan chce na siłę wydłużyć. To się może nie udać.

**CM:** Noo, nie wiem.

**A.K.:** No dobrze, za chwilę przyjdzie Toni, musi się tylko zebrać, a jak pan wie, to trwa. Chyba że pójdę i go wykopię?

**CM:** Tak, proszę iść i go wykopać.

**A.K.:** Dobrze.



Czesław Miłosz w Burgundii, fot. Andrzej Miłosz. Copyright © by Grażyna Strumiłło-Miłosz and Joanna Miłosz-Piekarska. Wszystkie prawa zastrzeżone: kosinskamiloszwkrakowie.com

Idę Skawińską, Krakowską, Stradomiem, Gertrudy, Sebastiana, swoją stałą trasą na Bogusławskiego, i myślę o tym, o czym nie powiedziałam CM, a w czym nasza rozmowa i sposób, w jaki o niej mówił (błogość nieschodząca z jego twarzy), właśnie mnie utwierdziły. Że Jadwiga była jego duchową opiekunką, powiernicą idealną. Że choroba Janiny, na którą to chorobę lekarstwem, upraszczając nieco, była Renata, a potem Carol, że ten całożyciowy Miłoszowy galimatias był do zniesienia dzięki

Jadwidze i dzięki temu, że składał jej sprawozdanie ze swojego życia, że właściwie powierzył jej siebie. A było to możliwe, bo Jadwiga go nie potępiała, rozumiała jego grzechy i słabości, i wiedząc o nich, w jakimś sensie brała je również na siebie. Była kobietą, która umie delikatnie prowadzić słonia. Nie rezygnowała ze swojej kobiecości, w listach była odrobinę zalotna, melancholijna, ale i dowcipna i ironiczna, świetnie oceniała ludzi. Umiała go pocieszyć, skarcić i umocnić. Czasem jest zniecierpliwiona jego wydumanymi problemami i pisze mu o tym. Ma Czesława za kogoś trochę dziecinnego, komu się wiele wybacza. W kartce z 1 grudnia 1983 roku pisze: „W tym świątecznym czasie cofnij się raz na ulicę Portową, pójdź w nasze wysokie pokoje, stań pod piecem i wspomnij czasy niewinności". Jakże wiele z niego rozumiała! Najważniejsze tęsknoty CM, z których jego dzieło: za niewinnością, za krokiem wstecz. *Apokatastasis*. Przywrócenie. Wiele jego najpiękniejszych wierszy powstało omyte światłem, które promieniowało z jej osoby. W jakimś sensie „wczesne kochanie spełniło się było" (z wiersza *Mała pauza*), bo przekształciło się w silne przywiązanie, dosłownie po grób. Po dwa groby: jej i teraz jego. Była ukochaną idealną. Może nawet idealizowaną, co jest doprawdy bez znaczenia, choć akurat dla CM miało to znaczenie, że mógł się nieledwie modlić do ziemskiej królowej, a była nią ona. Bo CM musiał podziwiać, i lepiej, żeby obiekt był tego godzien. Również związek z Carol mógł być możliwy dzięki jej, Jadwigi, czuwaniu, a potem jego pamięci o niej. Tak, była

patronką Czesława. A ponieważ poznał ją na studiach w Wilnie i tam zaczęła się ich miłość, była też łączniczką z dawnymi laty, z tamtą ziemią, skąd oboje nie wyjechali nigdy tak naprawdę, choć mieszkali na dwóch planetach i w jakże odmiennych światach. Tak, jego myśli biegły do niej, jej urok spleciony z Litwą trwał. Życie i dzieło poety skąpane jej światłem. Była też tajemnica. Bo jak kobieta takiego charakteru mogła zejść się z takim „awanturnikiem" jak Sergiusz Piasecki? Przeciwieństwo Czesia? A może nie? W jednym na pewno się różnili: Sergiusz był brawurowo odważny, był mężczyzną czynu, i to zbrojnego: żołnierz kampanii 1920 roku, potem w wywiadzie, tzw. Dwójce, niestroniący od ryzykownych nielegalnych akcji (przemyt), co w końcu doprowadziło go do więzienia. Cześ – z przeciwnego brzegu: człowiek literatury, a jego straceńcze wybory życiowe dyktowała raczej bezkompromisowość co do własnej niezależności twórczej niż cywilna odwaga. Nie mogę wyrokować jednoznacznie, że CM był w porównaniu z Piaseckim człowiekiem słabym, tchórzliwym, zadręczał siebie i innych swoimi wrażliwościami, urazami. Mam za mało danych. Nie znałam Sergiusza osobiście, a i CM znałam pod koniec jego życia. Piasecki, zdaje się, był prosto skrojony: nie hamletyzował, nienawidził bolszewizmu, żył mocno i po swojemu, to znaczy był wierny tylko swoim rozkazom: nie złożył ślubowania AK, odmówił wykonania wyroku na Mackiewiczu. Nieufny, tak jak tylko wielki samotnik może być, wobec wszelkich systemów i instytucji, ale także niehonorowych ludzi i zachowań (takim mógł się jawić mu

Miłosz, ale i Wańkowicz). Człowiek wielu talentów, bardzo sprawny fizycznie, skazany za napad pod wpływem kokainy, osadzony w jednym z najcięższych więzień, na Świętym Krzyżu, uczy się tam języka polskiego i pisze w tym języku słynną później powieść *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*. Musiał być człowiekiem fascynującym, o niebywałym charakterze. Witkacy namalował cztery jego portrety. Pytanie: dlaczego Piasecki tak nienawidził (to chyba nie za mocne słowo) CM? Czy tylko z powodu Jadwigi? Wydaje się, że jednak przede wszystkim z powodu akcesu CM do powojennego ładu, to jest służby w dyplomacji rządu komunistycznego. Pełnokrwista powieść o losach tak odmiennych jak CM i S.P. byłaby wyzwaniem. I Miłoszowi Piasecki jawił się jako postać fascynująca: pamiętam, kiedy rozmawialiśmy o Jadwidze, CM pytał mnie, czy jest jakaś współczesna książka (oprócz bardzo dobrej Krzysztofa Polechońskiego *Żywot człowieka uzbrojonego*), która opisywałaby te niezwykłe przemytnicze przygody Piaseckiego.

29 maja 2004, sobota

Prawie cały dzień spałam. W takie dni nie czuję swoich konturów. Wzięłam do domu listy Jadwigi i Czesława, żeby raz jeszcze sprawdzić, gdzie ten poszukiwany cytat się zapodział. Wypisuję kilka zdań, które mnie zatrzymały. „Każdy mocny eliksir miłosny zatrzymuje czas” (kartka CM do J.T. z 31 sierpnia 1984). „I czyżby to tak było przeznaczone, żebym ja miał być tym dębem i pielęgniarzem? Żeby mój egoizm odkupić” (3 lutego

1984). Jeanne[2] „moja confidante” (9 listopada 1984).

Koniec roku 1983 i początek 1984 to bardzo trudny czas dla CM – rozstanie z Renatą Gorczyńską: „więc nie tylko zawód miłosny. Cudowna inteligencja i zupełna neurotyczność”. Radzi się J.T. Rok 1985: Izrael, Londyn z Carol „moją przyjaciółką” (15 marca 1985). „To nieprawda, że ciebie nie kochałem” (14 lutego 1985). „Kochana Jadwigo, Tak dużo w myśli z Tobą rozmawiam” (14 kwietnia 1985). Karta z Rzymu z 1986 roku, po prywatnej kolacji u Papieża po śmierci Janiny. I jedna z ostatnich: „Carol szaleje w ogrodzie, sadzi nowe krzaki pnące i niepnące. A ja dzisiaj rano z okna kuchni zobaczyłem nowy gatunek drozda, który gnieździ się na północy i tu bywa tylko w zimie” (22 lutego 1988).

Jestem bardzo wdzięczna tej osóbce (nie wiem dlaczego, ale wyobrażam sobie, że to dziewczynka), która codziennie, uparcie gra gdzieś nad moim mieszkaniem preludia Bacha (i trochę Garści). Codziennie to robi. Czyli coś każe jej to robić. Pomimo tego, co wokół i co zawsze przeszkadza. I, czy jej to wychodzi, czy nie, jest to Bach. Kiedy jej się nie udaje, przerywa, wraca do początku, jest to nawet lepsze. Widać wtedy nieomylną sekwencję. Skończoną, bolesną doskonałość w tym dziecinnie prostym układzie.

W tej książce, czego trochę się wstydzę, co chwila strzelam do czytelnika z Bacha. Nie znam się na muzyce, choć dużo (i

każdego gatunku) słucham, ale tylko Bach wówczas zdawał egzamin i sam wchodził w ręce.

**Fragment książki Agnieszki Kosińskiej „Miłosz w Krakowie”, SIW Znak, Kraków 2015, s. 764.**

Copyright © by Agnieszka Kosińska i Wydawnictwo Znak, 2015. All rights reserved.

> Agnieszka Kosińska, biografia. Czesław Miłosz, książki, dzieła, kalendarium.

---

[1] Rozmowa Edmunda Szczesiaka z Władysławem Tomaszewskim, *Kochankowie Wielkiej Niedźwiedzicy*, „Przegląd Polski”, 21 listopada 1990.

[2] „Moja powiernica” to Jeanne Hersch.

**Artykuł prof. Floriana Śmieji na temat Sergiusza Piaseckiego:**

http://www.cultureave.com/sergiusz-piasecki-wedle--camila-jose-celi/

---

# Czesław Miłosz. Jubilat.



Czesław Miłosz, fot. Marek Śmieja.

**Florian Śmieja**

Wśród starych, zapomnianych papierów odnalazłem niedawno wiele lat temu napisane słowo zagajenia wieczoru autorskiego Czesława Miłosza, który się odbył w Sali Sztandarowej Instytutu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie 26 czerwca 1963

roku.

To na tym spotkaniu Miłosz m.in. odczytał „Pozycje”, tekst wydrukowany następnie w „Kontynentach” w numerze 57, wrzesień 1963. W jednym z punktów stwierdził zaskakująco:

> Pisanie i publikowanie poza krajem własnego języka nie jest żadnym odrębnym problemem, skoro się zważy, że trudność porozumienia upowszechnia się i staje się czymś niemal normalnym…

A także:

> Szczegół kraju w którym się mieszka, obłok, twarz, muszla na plaży, powinien wystarczać do rozgrywania własnej zasadniczej stawki.

A oto co wtedy powiedziałem:

Szanowni Państwo,

Z szeregu wieczorów autorskich, które urządziliśmy w tej Sali, zapamiętałem poprzedni wieczór  naszego Gościa, jakieś sześć, a

może siedem lat temu. Byliśmy dumni, że mogliśmy go przedstawić po raz pierwszy londyńskim miłośnikom poezji. Podobne uczucia nurtują mnie i dziś, kiedy znowu mamy zaszczyt powitać Poetę w naszych progach.

Nie muszę podkreślać chyba rzeczy oczywistej, że Czesław Miłosz od dawna jest z nami w kontakcie. Dzisiejszy wieczór potwierdza jego przychylność, jak świadczyła o niej wypowiedź drukowana w „Kontynentach" kilka miesięcy temu, w której nie szczędząc nam zresztą uwag krytycznych, Poeta dał dowód zainteresowania naszymi poczynaniami. Pomawiał nas wprawdzie o to, że tytuł pisma bezprawnie przywłaszczyliśmy sobie z jego książki. Ale to jest jego wersja prywatna. Naszym zdaniem, to on właśnie nazwał jedną z książek na cześć świetnego pisma – a taki epitet wyczytałem w „Dzienniku Polskim", naszej londyńskiej wyroczni – na cześć „Kontynentów". To że uczynił to o rok wcześniej od ukazania się pierwszego numeru miesięcznika świadczy o jego znakomitej intuicji poetyckiej. W jego korespondencji, wreszcie, znajdziemy ślady żywego śledzenia tego wszystkiego, co się w naszym środowisku dzieje.

Jesteśmy mu za to wdzięczni, rzecz jasna, a od siebie możemy go zapewnić o wysokim uznaniu dla jego pisarstwa. Niedawno Gość nasz ukończył pięćdziesiąt lat i mówiący te słowa przemyśliwał o stosownym uczczeniu tego jubileuszu. Niestety, skończyło się na

słowiańskim dumaniu… A Miłosz, zaiste, zasługuje ze wszech miar na uczczenie. Złożylibyśmy w ten sposób hołd człowiekowi o naprawdę imponującym dokonaniu. Przypomnijmy sobie jego dorobek.

Tyle się mówi – i zapewne nie bez racji – o ciężkiej doli emigracyjnego pisarza. O ile sytuacja materialna przedstawia się źle, o wiele smutniejsza jest sytuacja psychiczna. Otaczają nas milczące pióra. Stare talenty jakby wygasły. Obiecujący pisarze dają nam najczęściej utwory marginesowe. Na tle tych długich siedmiu lat chudych Miłosz rysuje się odrębnie. Zadaje kłam tezie, jakoby poza granicami Polski nie można było tworzyć intensywnie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Czesław Miłosz wydał dziewięć tomów poezji i prozy oraz pięć tomów przekładów i opracowań. Są to pozycje poważne, niektóre przełożono na wiele języków. Jeżeli dodać do powyższej listy eseje i przekłady na język polski, a także na język angielski, otrzymamy imponujący obraz dokonania.

Krytycy, a także wprowadzający, jak ja dzisiaj, niepoprawnie sięgają po jakiś cytat, jakąś myśl, która jakby *in nuce* charakteryzuje osobę, o której mówią, która ukazuje jej poetycką sylwetkę. Jest to proceder nieco ryzykowny lecz wielce pomocny i zrozumiały.

Kiedy wertowałem najnowszy tom wierszy naszego dzisiejszego

Gościa „Król Popiel” z 1962 roku, znalazłem w nim na ostatku poemat o Ameryce, bliżej, o Kalifornii. Poemat zresztą na wskroś przeszyty krajobrazem polskim, wsią litewską, utwór miły mojemu sercu za reminiscencje historyczne, za ślady odysei Alvara Nuñeza Cabeza de Vaca i heroicznie sprawnego w rzeczach świeckich franciszkanina ojca Junipery Serra, któremu Kalifornia zawdzięcza tyle pięknych nazw miejscowości jak: Los Angeles, San Francisco, Santa Barbara czy San Juan.

W tym to poemacie znajduje się czterowiersz, który kojarzy w moim umyśle dwa wydawać by się mogło, wrogie obozy, dwa krańcowo różne źródła natchnienia poetyckiego. Poeta dostrzega piękno obu światów i przy dokładniejszym spojrzeniu piękno to jest wcale podobne. Piękno świata, o którym współcześni wolą mówić z przekąsem i udałość nowego, tak nieludzkiego dla tradycjonalistów. W tym fragmencie widzimy nie tylko możliwości nowej poezji, jest on, wydaje mi się, charakterystyczny dla poezji Miłosza, tej arki przymierza, by posłużyć się utartym określeniem, pomiędzy żywotnymi elementami poezji przedwojennej a odkrywczymi cechami liryki współczesnej.

Można by już cytat poprzedzić wersami początku członu dziesiątego:

> Nad jego grobem Mozarta zagrali
>
> Bo nic nie mieli co by ich dzieliło
>
> Od żółtej gliny, chmur, nadgniłych dalii
>
> A pod za dużym niebem za cicho im było.

Nieco dalej następuje czterowiersz, o który mi chodzi:

> Brzmiał Mozart, z pudru peruk odwinięty,
>
> I babim latem unosił się długo,
>
> Niknąc nad głową, w tej pustce którędy
>
> Szedł odrzutowiec z cienką białą smugą.

Proszę Państwa, oddaję głos Autorowi.

***

Kilka tygodni po spotkaniu, w liście z podparyskiej miejscowości Montgeron datowanym 9 lipca 1963 roku Miłosz napisał m.in.

> Chcę podziękować gorąco za miłe przyjęcie w Londynie i za Pana wstęp do mojego wieczoru autorskiego traktujący mnie niemal jak jubilata…

Myślę, że od tamtego czasu Poeta miał bardzo wiele okazji, by się do takiego traktowania przyzwyczaić.

---

# Ojciec był poetą

# katolickim

**Barbara Gruszka-Zych**

**Rozmowa z Antonim Miłoszem – synem noblisty Czesława Miłosza o poszukiwaniu, Mszach łacińskich i szacunku.**



Urodziny Czesława Miłosza, 30 czerwca 2017 r. w dworku w Krasnogrudzie. Od lewej: Barbara Gruszka-Zych, Toni Miłosz – syn Czesława Miłosza, Nikita Kuznetsov, Grzegorz Hajkowski,

fot. Roman Koszowski.

**Barbara Gruszka-Zych:** Dwa lata temu na Festiwalu Miłosza w Krakowie ks. prof. Jerzy Szymik, który napisał pracę habilitacyjną o Pana ojcu, powiedział, że Czesław Miłosz jest największym poetą religijnym. Wiele osób zaprotestowało.

**Antoni Miłosz:** Mój ojciec był na pewno poetą katolickim. Gdyby nim nie był, nie napisałby listu do Jana Pawła II, w którym prosił o potwierdzenie, że jego twórczość jest zgodna z doktryną katolicką. To nieprzeciętny gest, nie pamiętam takiego drugiego wypadku w historii, żeby autor zwrócił się do papieża z prośbą o imprimatur. Wysyłając swój list, w pewnym sensie prosił ojca świętego o rozszerzenie wachlarza tego, co teologia katolicka obejmuje, do tematów poruszanych w jego twórczości. Papież uznał, że twórczość mojego ojca nie odstępuje od zasad teologii katolickiej. Bardzo ostrożnie i mądrze odpisał, że liczy się intencja poety. To było pojednanie z Kościołem przeprowadzone na bardzo wysokim poziomie.

**BGZ:** Czy ojciec z Panem o tym rozmawiał?

**AM:** Oczywiście… Ale rozmowa nie była nawet potrzebna. Rozumieliśmy się bez słów w tym temacie. Teologicznie ojciec stał na krawędzi myśli gnostycznej z elementami manicheizmu.

Był bardzo skupiony nad pytaniem, skąd się bierze zło. Szukał wytłumaczenia w nauce Kościoła. Kiedy się rozmawia z ludźmi w Stanach, gdzie ojciec spędził długie lata, a ja mieszkam do dziś, ma się wrażenie, że zło jest wyłącznie brakiem dobra. Jednak ojciec uważał, że zło ma swoją siłę…

**BGZ:** To sprawa szatana…

**AM:** Oczywiście, uznawał, że szatan istnieje. Nie ma ogona, ale działa.

**BGZ:** Stany Zjednoczone i w ogóle Zachód to inny Kościół niż w Polsce.

**AM:** Kiedy w Ameryce mówi się „Kościół”, to nie myśli się wyłącznie o Kościele katolickim. Katolicy są tam w mniejszości. Czasem chodziłem z ojcem do kościoła. Pamiętam taką Mszę w Stanach, w kościele przy Uniwersytecie w Berkeley, z której musieliśmy wyjść. Były święta Bożego Narodzenia, a ksiądz na kazaniu opowiedział dowcip, że Pan Jezus przyszedł na świat w postaci kobiety. To było takie przypodobywanie się na siłę temu, co modne, nowoczesne. My z ojcem nie mogliśmy tego zaakceptować. Dlatego też nie podobają mi się Msze z gitarami. Nie lubię, kiedy Kościół stawia się w pozycji proszącego wiernych, żeby do niego przychodzili, przyciągając ich różnymi atrakcjami. Zupełnie inną Mszę przeżyliśmy z ojcem w Bretanii,

w miasteczku Pornic. Miałem wtedy chyba 10, 11 lat. Weszliśmy do malutkiego kościoła, gdzie Eucharystię po łacinie sprawował gruby, widać lubiany przez parafian, ksiądz. Pochylał się nad ogromnym mszałem, którego litery można było zobaczyć z ostatniego rzędu. To była Msza śpiewana. Wszyscy zgromadzeni w kościele modlili się z takim skupieniem, że stworzyliśmy razem prawdziwą wspólnotę. Duch Święty był wśród nas. Nawiasem mówiąc, szkoda, że łacina nie stała się językiem Unii Europejskiej. To język, który przez stulecia bardzo dobrze nam służył. Dla mnie Msza po łacinie istnieje na poziomie ponadnarodowym. Teraz Msze w językach narodowych mają w dużej mierze swoją specyfikę, może zbyt lokalną.



Czytanie „Traktatu teologicznego” Czesława Miłosza, z okazji

urodzin noblisty, 30 czerwca 2017 roku w Krasnogrudzie. W środku Toni Miłosz, fot Barbara Gruszka-Zych.

**BGZ:** W dzieciństwie modlił się Pan po łacinie?

**AM:** „Pater noster" mówiłem w kościele. Nauczyłem się modlitw w różnych językach. „Ojcze nasz" mówiłem najpierw po polsku.

**BGZ:** Czy udział we Mszy św. był ważny dla Pana ojca? Wiem, że w Krakowie modlił się w kościele św. Idziego pod Wawelem.

**AM:** Tak, rzeczywiście. W Berkeley było kilka kościołów, do których ojciec chodził. Najczęściej na Mszę wybieraliśmy się do kościoła uniwersyteckiego.

**BGZ:** Jan Paweł II powiedział, że kiedy Pana ojciec robił w swojej wierze jeden krok do przodu, to zaraz potem cofał się o dwa kroki.

**AM:** Papież jako człowiek był podobny do ojca. Był czuły na drugiego. Rozumiał, że w sztuce jest konieczne nieustanne poszukiwanie.

**BGZ:** Czy Pana ojciec był samotny w Berkeley? Kiedy pisał „Ziemię Ulro" czuł otaczającą go pustynię duchową.

**AM:** Czuł się tam samotny na samym początku. Kiedy przyjechał do Stanów, był negatywnie nastawiony do Ameryki. Kilka lat zajęło mu odkrycie wartości tego społeczeństwa. Tak naprawdę przełamał się pod koniec lat 60., kiedy poznał bardzo zdolnych studentów i tamtejsze środowisko. Docenił amerykańskie społeczeństwo za jego nieustanne dążenie do demokracji, która jest mu wpajana historycznie jako podstawowa zasada istnienia. Kiedy w 1978 r. wydał „Ziemię Ulro", wychodził z samotności. Wtedy coraz częściej odwiedzali go ludzie z Polski, a amerykańscy poeci przyjęli go bardzo serdecznie i uznali za jednego z nich. Mimo że jego wiersze czytali w tłumaczeniu, widać było, że jego twórczość bardzo do nich przemawia. Na jego spotkania autorskie, nawet przed Noblem, przychodziły tłumy.

**BGZ:** A więc mówienie, że on – samotnik chował swoje wiersze do dziupli starego drzewa, było przesadą?

**AM:** To tworzenie mitu.

**BGZ:** Jaki miał Pan stosunek do pisania ojca?

**AM:** Jako dziecko nie wiedziałem, że ojciec pisze. Po prostu zamykał się w gabinecie i pracował. Dla mnie ojciec był autorytetem, ale jego wiersze nie od razu do mnie przemawiały. Kiedy byłem mały, krępowało mnie, kiedy czytał je gościom

przychodzącym do domu. Za to bardzo lubiłem, kiedy w domu czytał nam – swoim synom, utwory Mickiewicza. Chciał, żebyśmy poznawali piękną, polską literaturę i cieszyli się nią.

**BGZ:** Może czytał wam „Ballady i romanse”, tak jak mnie mój tata?

**AM:** Tak właśnie! Akurat to… I to mi zostało jako taki bardzo istotny grunt. To był język polski bardzo dobrej jakości. Ojciec czytał nam też powieści, które sam pochłaniał jako mały chłopiec. Na przykład Karola Maya. To autor w ogóle nieznany w Ameryce czy we Francji. Za to wszyscy Polacy wiedzą, kto to był Winnetou i Old Shatterhand.

**BGZ:** Jaki wiersz ojca Pan lubi?

**AM:** „Rzeki”, do którego ułożyłem muzykę i pod tym tytułem wydałem płytę. To głęboki tekst, dający mocny, metaforyczny obraz rzeczywistości jako rzeki.

**BGZ:** A jak to było z tłumaczeniem tekstów biblijnych przez Pana ojca? Wyjaśniał, że tylko w oryginale mógł je naprawdę zrozumieć.

**AM:** Tak mówił. W księgozbiorze ojca były też teksty po grecku i hebrajsku. Stanowiły zaplecze do jego badań historii duchowej

ludzkości. To nic dziwnego, że wrócił do źródeł. Nie cenił szczególnie już istniejących starych tłumaczeń Biblii na język polski, uważając je za niewierne, ale też nie dostrzegał zbyt ciekawych przekładów nowoczesnych. Dlatego sam zabrał się za tłumaczenie niektórych tekstów.

**BGZ:** Czy to zmieniło jego podejście do wiary, obudziło religijność?

**AM:** To nie było tak, że kiedy zaczął tłumaczyć Biblię, nagle stał się bardziej religijny. On w gruncie rzeczy zawsze był poetą mistycznym.



Odnowiony dwór Czesława Miłosza w Krasnogrudzie, na Podlasiu, koło Sejn.

**BGZ:** Niektóre środowiska zarzucają Pana ojcu bycie bardziej Litwinem niż Polakiem.

**AM:** To smutne wytykanie, że nie był wyłącznie patriotą polskim. Trzeba wziąć pod uwagę, że urodził się jakby w Wielkim Księstwie Litewskim. Dlaczego więc miałby nie kochać też Litwy? Ale przecież był poetą polskim i pisał po polsku. Patriotyzm różni się od nacjonalizmu. Patriotyzm jest na „tak" wobec własnego narodu, a nacjonalizm na „nie" wobec innych. Żaden nacjonalizm nie jest zdrowy. Jak można współżyć z innymi nacjami, będąc nacjonalistą? To śmieszne zarzuty. Stawiają je ludzie, którzy zapominają, ile milionów ludzi zginęło w XX w. właśnie przez różne nacjonalizmy i nie potrafią się wyrzec tego sposobu myślenia. Ojciec uważał, że musimy współżyć z sąsiadami, stanąć trochę wyżej i pamiętać, że wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego Boga. Jeśli nie odrzucimy drobnych, ale też i trudnych, dzielących narody spraw, to nie ma żadnej przyszłości dla ludzi na tej ziemi. Sprytni politycy, aby zdobyć władze, manipulują, przekręcając zdrowy patriotyzm ludzi w paranoje, nacjonalizm i nienawiść. Myślę, że młode pokolenia, które bardziej troszczą się o przyszłość naszych losów na ziemi, powoli odchodzą od tego i nie dadzą się już tak łatwo wkręcić w nacjonalizmy i modne w niektórych środowiskach faszyzmy. Nacjonalistami zostaną wtedy jedynie niereformowalni, starzy ludzie.

**BGZ:** Co dla Pana ojca było w życiu najważniejsze?

**AM:** Zawsze powtarzał cytat z Goethego, że najważniejszy jest „Szacunek, szacunek, szacunek”. Uważał to za zasadę – mieć szacunek do świata i ludzi. To jest podstawowa prawda naszej religii, dlatego warto to przemyśleć.

**BGZ:** To ciekawe. Bo wiele osób postrzegało pana Czesława jako człowieka, który czasem ostro, nieprzewidywalnie reagował na ludzi.

**AM:** Ale to nie znaczy, że nie miał do nich szacunku.

*„Gość niedzielny”, 26/2017 r.,*

http://gosc.pl/

---

# Czesław Miłosz

jakiego będę pamiętać



Czesław Miłosz, fot. Marek Śmieja.

*Kiedy po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj*

*zamieniony w samo patrzenie będę dalej pochłaniał proporcje*

*ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie*

*(Cz. Miłosz z tomu „To”)*

**Barbara Gruszka-Zych**

Wiedziałam o chorobie Czesława Miłosza,  ale i tak nie mogłam uwierzyć w wiadomość, która dotarła do mnie w sobotę, 14 sierpnia 2004 roku. Zwłaszcza, że „Mój Poeta” patrzył na mnie z naszych wspólnych zdjęć, zawieszonych na ścianie mojego pokoju. Robiłam je, ilekroć odwiedzałam Autora *Nieobjętej ziemi* w jego krakowskim mieszkaniu. To dzięki niemu „uwierzyłam” w życie pozagrobowe. Kiedyś złożyłam Profesorowi wizytę, nastawiona, że będziemy rozmawiać o poezji, a on zaczął mnie wypytywać o sprawy osobiste, o których opowiadałam mu przed kilkoma miesiącami. Myślałam, że o nich zapomniał.

– Martwiłem się o panią – mówił. – Zawsze pani dobrze życzyłem, myślę o pani ciepło – powtarzał. I wtedy poczułam, że jeśli ktoś jest dla mnie tak życzliwy na ziemi, to musi być też i po drugiej stronie. Że te dobre uczucia nie mogą się tu skończyć, zginąć, ale spotkają mnie tam…

Poznałam go w Krakowie, chciałam przeprowadzić z nim wywiad do „Gościa Niedzielnego”, byłam ostatnia w kolejce czekających. I miałam szczęście, bo autor *Kontynentów* był zmęczony i zaproponował mi spacer, a potem kawę u Noworolskiego. Zamiast robić wywiad, rozmawialiśmy o życiu, o Ameryce, w której mieszkał i wykładał w Berkeley na wydziale literatur słowiańskich. Mówił, że nie przebywa w świecie prawdziwie amerykańskim, nie ogląda telewizji, nie czyta narzucanych przez krytykę bestsellerów, ale siedzi w swojej samotni i bardzo dużo pracuje – studiuje, czyta, pisze:

– Po takich podróżach lubię zamknąć się w swojej pustelni.

Taki też był do końca. Nawet złożony chorobą, kiedy już nie mógł sam czytać, chętnie słuchał, jak inni czytali mu listy, teksty, książki i sam dyktował. Podczas pierwszego spotkania na pożegnanie dałam mu swój pierwszy tomik. Po miesiącu dostałam list z Berkeley z oceną wierszy i zachętą do pisania. Odtąd czytał każdą moją nową książkę, oceniał ją w listach, a kiedy przed 7 laty przeniósł się do Krakowa i zamieszkał przy ulicy Bogusławskiego, zapraszał mnie do siebie i na gorąco komentował moje wiersze.

– Niech pani tradycyjnie siądzie w miękkim fotelu, a ja tu – brał swoje twarde krzesło. Jaka była moja radość, kiedy pod swoją mleczną lampą siadał z przyniesionymi przeze mnie kartkami i

po kolei przeglądał je, dzieląc się uwagami. Zdarzało się, że po swojemu chwalił mnie: *bene, molto bene, tres interessant.* Kiedyś wspólnie szukaliśmy tytułu do mojego kolejnego tomiku. Poeta wybierał cytaty z moich wierszy, aż nagle ucieszył się i powiedział:

– *Zapinając kolczyki.* Niech pani uchyli przyłbicę i przyzna się, że jest kobietą.

Potem wielokrotnie przypominał mi, że wymyślił dobry tytuł. Zachęcał do wydania kolejnych książek:

– Jak składam tom, to też wciąż się zastanawiam, co jest w nim do zostawienia, a wreszcie daję spokój. Trzeba zamknąć jakąś część życia, odejść kilka kroków dalej i zgodzić się na to, że taki byłem – opowiadał. Spytał mnie też kiedyś przekornie, czy gdyby powiedział, że już nie powinnam pisać, to bym go posłuchała. Zaprzeczyłam, zdając sobie sprawę, że poeta uświadamia mi, iż konieczność notowania jest dla mnie imperatywem, siłą wyższą. To on, sławny noblista, chciał rozmawiać ze mną – wtedy jeszcze młodą dziewczyną z jakieś tam nieznanej Czeladzi. Poświęcał mi czas, przejmował się moimi problemami. Wiem, że także sprawy wielu innych osób były dla niego ważne. Sam podkreślał, że urodził się na prowincji, na Litwie, we dworze w Szetejniach, w dolinie Niewiaży – jego ukochanej Issy, między Kiejdanami a Krakinowem. Pojechałam tam w czerwcu tego roku, świadoma,

że Poeta jest ciężko chory. W Szetejniach zobaczyłam biały, odremontowany dwór, otoczony przetrzebionym, „uporządkowanym" dla turystów lasem. Słychać było, jak kukają kukułki, ale nie starałam się liczyć, ile „wróżą" lat… Badaczka dziejów Miłosza – Birutė Jonuškaitė opowiedziała mi, że kiedy poeta ostatnio odwiedził to miejsce, szukał wśród drzew ulubionej leszczyny i nie mógł jej znaleźć. Rozglądaliśmy się, jakby kontynuując jego poszukiwania.

*Nie poznajesz mnie ale to ja ten sam*

*Który wycinał na łuki twoje brunatne pędy (…)*

*Szkoda, że tamtym chłopcem już nie jestem, bo widzisz, chodzę o lasce*

Rozmawiał potem z drzewem w wierszu *Do leszczyny*. Z Szetejń pływał Niewiażą z ciotkami do kościoła w Świętobrości. Koło świątyni stoi zadbany pomnik jego babki Józefy Syruciowej, której mąż Zygmunt Kunat napisał *Najlepszey żonie*. Patrzyliśmy na cmentarz w popołudniowym słońcu, pogłębiającym cienie wokół napisów na nagrobkach, *Kalifornijski wędrowiec,*

*przechowuję talizman, zdjęcia pagórka w Świętobrości, gdzie pod dębami leżą dziadek Zygmunt Kunat* – wyznawał w wierszu *Mój dziadek Zygmunt Kunat.*

To Czesław Miłosz, jak go nazywałam, „Mój Poeta", ale też – za jego sekretarką, Agnieszką Kosińską – „Profesor" nauczył mnie zwracać uwagę na ludzi, nazwiska, szczegóły:

– Odeszła pani od subiektywnego widzenia świata, tak charakterystycznego dla poezji współczesnej, do obiektywnego. W pani wierszach są rzeczy, detale, to coś innego niż emocje, skupianie się na sobie.

Kiedy czytał mój wiersz o klasztorze kontemplacyjnym sióstr klarysek w Starym Sączu, cieszył się:

– To jest właśnie to: woda obmywająca ofiarne bulwy ziemniaków, ogień gazowego piecyka. To są przedmioty, konkrety, ładne, tak… Czy pani się zastanawiała, jak przedmioty potrafią nosić na sobie znaki, odbicia osób, które je miały? – pytał po lekturze mojego wiersza o dziewczynie, która w sklepie z używaną odzieżą zostawiła razem z sukienką szalone lato. Na półkach mam kilkadziesiąt książek Miłosza z jego autografami, dedykacjami dla moich synów, dla mnie. Z literami pisanymi nieodmiennie wiecznym piórem, które nosił w wewnętrznej kieszeni swojej marynarki.

– Brak pióra to nie powód, żebym nie wpisał pani dedykacji – śmiał się w zeszłym roku, nie mogąc go znaleźć. Jego ostatnie tomy były nieustannym zbieraniem się do odejścia. A jednocześnie zapisem niepohamowanego zachwytu nad światem. To chyba najwybitniejsze strofy poezji polskiej o życiu i śmierci. Wiersze, które podbiły Stany Zjednoczone (w USA uważają, że Miłosz to „ich" poeta).

*Kiedy po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj*

*zamieniony w samo patrzenie będę dalej pochłaniał proporcje*

*ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie*

notował w tomie *To.* Albo:

*Jasności promieniste*

*Niebiańskie rosy czyste*

*Pomagajcie każdemu*

*Ziemi doznającemu.*

Te wiersze dla niektórych były jak modlitwa. Poznałam zakonnicę, która czytała je zamiast medytacji. Słyszałam o księdzu, który kazał je zamknąć ze sobą do trumny. A przecież sam poeta miał do swojego pisania (i pisania w ogóle) tyle zastrzeżeń.

– Literatura nie bardzo daje się pogodzić z ewangelicznym wskazaniem *Gdzie skarb twój, tam serce Twoje* – mówił mi. – Bo skarb poety i każdego twórcy zanadto jest umieszczony w tym, co robi, a to, co robi, jest związane z jego osobą. W samym założeniu spędzanie tylu godzin na obcowaniu ze sobą staje się niebezpieczne, oddziela od innych.

Kiedy odwiedziłam go jeszcze przed dziewięćdziesiątką, zaśmiał się:

– Przychodzi pani do starego człowieka, nie słyszę, niedowidzę.

– To może jakieś krople?– starałam się radzić.

– Gdzie tam krople, to starość. Ci, co mają mocne serce, muszą się długo męczyć.

*Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, w sierpniu 2004 r.*